

## Zuzanna Ginczanka

W roku 1933 zgłosiłem się do 44 pułku strzelców kresowych, stacjonowanego w Równem Wołyńskim, aby w miejscowej podchorążówce odbyć służbę wojskową. Jeden z moich kolegów, lwowianin ormiańskiego pochodzenia, powiada mi któregoś dnia, że ma w Równem dalekiego krewnego, który pisuje wiersze i, dowiedziawszy się o moim pobycie w podchorążówce, bardzo mnie chce poznać. Tak doszło do kontaktu z młodym ówczesnie poetą, Janem Śpiewakiem. Właściwie był to literacki pseudonim, syn nieco zmienił nazwisko. Swego czasu przejrzałem wspomnienia Jana Śpiewaka, pt. „Przyjaźnie i animozje”, wydane jeszcze za życia pisarza, zmarłego w roku 1965. Był on chyba rok, albo dwa ode mnie starszy, więc należy uznać ten zgon za o wiele przedwczesny.

Potem książkę odłożyłem i dopiero po kilkunastu latach przeczytałem dokładnie. Jan Śpiewak! Komu na emigracji nazwisko coś mówi?! Czytając książkę, bez trudu wyłowilem wszystkie błędy i niekonsekwencje, od których ten tekst się roi. Wystarczą tytułem przykładu dwa fragmenty. Oto one: „Pewnego dnia – pisał Śpiewak – matka wspominała, że córka znajomych pisze wiersze. Jest w 7 klasie. Zaciekała mnie ta znajomość... W 1934 r. poznałem w Równem Zuzannę Ginczanę (str. 190)”. Nie, bo ja poznałem dziewczynę za pośrednictwem tegoż Śpiewaka w jesieni 1933 roku.

A w ostatnim rozdziale książki rozmowa ze Stanisławem Piętakiem. „Kiedy i gdzie poznaliśmy się?”. „Poznaliśmy się wczesną jesienią 1934 w Warszawie na ulicy. Szedłem z Zuzanną i Józkiem Łobodowskim, był to róg Mazowieckiej i Traugutta, południe, Zuzanna szła w stronę uniwersytetu...”. „Podziwiam twoją pamięć – zachwycił się Śpiewak – jak plastycznie przypominasz minione czasy. Idźmy dalej śladami wspomnień!” „Byłem wtedy – Piętał dalej snuje swoją bajkę – po wydaniu drugiego mego tomu, *Legendy dnia i nocy*, chorowałem, mieszkałem na Radnej 10, razem z Domańskim...” (str. 431).

I wszystko odbyło się zupełnie inaczej. Uważny czytelnik już miał okazję do stwierdzenia, że daty kłócą się ze sobą. Jeżeli Ginczanka była w roku 1934 uczennicą siódmej klasy w Równem, to nie mogła wczesną jesienią tego roku studiować na uniwersytecie warszawskim. Obydwaj rozmówcy pomylili daty. Ginczanę poznałem (powtarzam) za pośrednictwem tegoż Śpiewaka w roku 1933, zimowała w siódmej klasie (jakieś kłopoty z matematyką), maturę zrobiła w 1935, lato spędziła nad Bałtykiem, we wrześniu przeniosła się do Warszawy.

Z powodów, o których poniżej, zainteresował mnie w książce Śpiewaka głównie obszerny

rozdział (pięćdziesiąt stron), poświęcony właśnie Ginczance, pod tytułem „Zuzanna, gawęda tragiczna”. I tu także mnóstwo niedokładności. Z książki wynika, że Piętał już wczesną jesienią 1934 roku był po drugim tomie poezji, „Legends dnia i nocy”. W rzeczywistości debiutował dopiero w roku 1935 „Alfabetem oczu”. Wiem coś o tym, bo ja mu wydałem ten pierwszy tom w założonej przeze mnie „Bibliotece Dźwigarów”. Najpierw, jako numer pierwszy poszła moja „Rozmowa z Ojczyzną”, a jako numer drugi – „Alfabet oczu”. Daty łatwe do sprawdzenia.

Widywałem się w tamtym czasie z Ginczanką dość często, w lutym 1934 nastąpiła kilkumiesięczna przerwa. Pod koniec roku pojechałem wraz z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim do Równego na wieczór autorski (Józef Czechowicz był również zaproszony, ale dostał nagłej grypy i nie pojechał). Po wieczorze spędziłem kilka godzin w towarzystwie Zuzanny. A w roku 1935 przybyła, jako się rzekło, na studia do Warszawy. Otworzył się nowy rozdział. Krótki, ale intensywny.

Myląc zasadnicze daty, Śpiewak zapamiętał jednak to i owo, „Zaznajomiłem Józka z Zuzanna – wspomina – odtąd rozdawali się, często przepadał u niej na górze. O czym rozmawiał z Giną godzinami? Myślałem, że kocha się w niej...” Rzeczywiście – o c z y m? Ech, nie żyjący Jasiu! O czym dwudziestoczteroletni poeta może rozmawiać ze wspaniałą szesnastoletnią dziewczyną, której podobają się jego wiersze? Od czasu do czasu z dołu dolatywał niezadowolony głos babci, która Zuzannę wychowywała. Nie znała dostatecznie dobrze języka polskiego i rozmawiała z wnuczką wyłącznie po rosyjsku. „Sanoczka, kto ciebie?”, albo „Sanoczka, czto ty tak dołgo rozgawariwajesz z etim sołdatom?”. „Babuszka – odpowiadała zazwyczaj Zuzanna – my wiediom litieraturnyj razgawor”. Kiedyś stara przyłapała mnie w korytarzu. Podniosła pince-nez w złotej oprawie, obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem. Uprzedzając ewentualną indagację, zapewniłem energicznie: „Madam ja wied, wlublion w Sanoczku tolko płatoniczeski!” (zakochany platonicznie). Babcia uśmiechnęła się z widoczną ironią, „Isz jewo! Nam charaszo izwiestno pra eti płatoniczeskija lubwi. (Znamy się na tych platonicznych miłościach!)”. Sana śmiała się wesoło. W nagrodę otrzymałem podwójną porcję pocałunków. Ale nie tyle ile bym chciał. „Śmierdzisz kozarami i żoładckim juchtem”. W Warszawie, gdy byłem już w cywilu i babci nie było już w pobliżu, wyglądało to trochę inaczej.

Z niektórych wspomnień wynika, że Zuzanna miała po przyjeździe do Warszawy trudne początki literackie. Nonsens! Jechała do stolicy dobrze pewna siebie. Od przeszło dwóch lat prowadziła korespondencję z Julianem Tuwimem. Był znany z tego, że lubił protegować młodych, początkujących poetów. A tu szesnastoletnia dziewczyna, jeszcze sztubacka z dalekiego wołyńskiego miasta, urodzona w roku rewolucji w Kijowie. Jeszcze na wiosnę 1933 roku Zuzanna posłała Tuwimowi kilka swoich poetyckich pierwocin, między innymi wiersz „Szesnastolatki”. Ten wiersz nigdy nie ukazał się w druku, nie chciała mi, mimo usilnych prób, dać go do przeczytania. Tuwim zachował się dyskretnie i też nikomu go nie pokazał. Ale nie trudno było domyślać się o co w nim chodziło. Zuzanna bardzo wcześnie dojrzała. Gdy ją poznałem późną jesienią 1933-go roku,

była już kobietą, wprawdzie młodziutką, ale w pełnym rozkwicie pysznej, egzotycznej urody. Wiedząc, że rozczytuje się w „Pieśni nad Pieśniami” Salomona (jednemu z późniejszych wierszy dała tytuł „Canticum canticorum”), z miejsca nazwałem ją Sulamitką (Szulammit), co się Sanie niezmiernie spodobало.

Po przyjeździe do Warszawy nie musiała szukać dróg, by dostać się do „Wiadomości Literackich” i odnowionego na wiosnę 1935-go roku „Skamandra”. Protekcja Tuwima w zupełności wystarczała. Dla Grydzewskiego każde słowo autora „Biblii Cygańskiej” było święte. Skoro Ginczanka znalazła się pod protekcją Tuwima, już miała drzwi do redakcji przy ulicy Złotej szeroko otwarte. Stąd opowieść Tadeusza Wittlina („Ostatnia Cyganeria”) o wizycie Sany u Grydzewskiego wydała mi się od razu malowniczą fantazją. Ginczanka znalazła się pod protekcją Tuwima i to załatwiło właściwie wszystko. Nie tylko u Grydzewskiego. Pierwszy i, niestety ostatni tom wierszy Ginczanki Pt. „O centaurach”, wyszedł w roku 1936 u Przeworskiego. Było to wydawnictwo niesłychanie ekskluzywne i wydanie w nim tomiku nikomu dotychczas nieznaney, dziewiętnastoletniej debiutantki, do tego w luksusowej szacie graficznej, było ewenementem wręcz wyjątkowym. Także i tu zadziałała ręka Tuwima.

Zastanawiałem się, jaki właściwie jest jego stosunek do Sany. Widywano ich stale w „Małej Ziemiańskiej”. Gdy jakiś impertynent zapytał Zuzannę: „Czy pani jest kochanką Tuwima?”, ta odparła spokojnie: „Za wysokie progi na moje nogi”. Ale czy to była tylko opieka ojcowska starszego o dwadzieścia kilka lat, od dawna sławnego poety, czy coś więcej, trudno dociec. Że nie była jego kochanką – to pewne. Zdarzyło się któregoś wieczora, że pewien początkujący pisarz, po dobrze zakropionej kolacji, powiedział do Zuzanny: „Pani jest warta nocy!”. Nie przypadło mi to do gustu, więc ostro zareplikowałem: „Jest pan w grubym błędzie. Zuzanna jest warta nie jednej, lecz tysiąca i jednej nocy!”. Tamten chciał coś odpowiedzieć, ale Tuwim, który był przy tym obecny, śmiejąc się, zwrócił mu uwagę: „Panie, po tym, co pan usłyszał od Łobodowskiego, pozostaje panu tylko jedna opcja – natychmiast wyjść!” Winowajca posłusznie wyszedł. Zuzanna była zachwycona.

Bardzo szybko stała się znana i popularna w całej literacko-artystycznej Warszawie. Miała ogromne powodzenie. Nic dziwnego. Wspaniałe tors, biodra godne dłuta starogreckiego rzeźbiarza, świetne nogi. Do tego przedziwne oczy, mieniające się, jak morska woda na słońcu, sensualny wykrój ust, ciężki węzeł kruczych włosów na karku. Nie mogła się nie podobać. Któregoś dnia poznał ją, za pośrednictwem tegoż Tuwima znakomity poeta ukraiński, Jewhen Małaniuk.

Wpadł do redakcji „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” niezwykle podniecony. „Macie – zawołał – nową, doskonałą poetkę!”. Małaniuk natychmiast wtajemniczył Zuzannę w swoją teorię o kobietach. Uważał, że istnieją dwa podstawowe prototypy: Salome (albo Carmen) i Beatrycze (albo homerowska Nauzykaa). Reszta się nie liczy. Zuzanna bardzo się tą teorią przejęła, ale gdy ją zapytałem, do którego typu można ją samą zaliczyć, nie mogła się zdecydować. „No, pewnie –

tryumfowałem – bo ani do jednego, ani do drugiego nie pasujesz! Ta teoria to jeszcze jedna malownicza fanaberia pana Eugeniusza. Możesz czuć się dumną, zrobiłaś na nim duże wrażenie!”.

Niejednokrotnie chciała, żebym ją wziął na dancing. Nigdy do tego nie doszło – nie chciałem. Była mego wzrostu, a na wysokich obcasach, w których się lubowała, znacznie wyższa. Jako się rzekło, miała wielkie powodzenie, co przyjmowała z łaskawym uśmiechem, jako rzecz samą przez się zrozumiałą. Przez pewien czas zalecał się do niej Leon Pasternak. Wyglądało to dość zabawnie. Mały, krępy, niższy od niej o głowę, do tego z czaszką ogoloną na zero, niczym wzorowy funkcjonariusz GPU, nie miał najmniejszych szans. Ponadto Sana nie lubiła jego wierszy. Zemścił się w bardzo brzydki sposób, mianowicie, zamieścił w „Szpilek” paszkwilancki wiersz, gdzie było coś o tym, że Zuzanna wyjdzie w końcu za aptekarza, który będzie zawijał proszki i pigułki w kartki, wyrwane z jej tomu wierszy „O centaurach”.

Pasternak Pasternakiem – wiadomo, ale dlaczego redakcja „Szpilek” zamieściła ten wiersz? Logiczną odpowiedź miałem tylko jedną: wszyscy po kolei dostawali kosza od pięknej panny. Stąd zbiorowa zemsta. Jeden Andrzej Nowicki (zmarł przed kilkoma miesiącami) cieszył się przez pewien czas jej łaskami, ale chyba do niczego między nimi nie doszło. Co do mnie, przestałem się liczyć od marca 1938 roku, gdy Zuzanna dowiedziała się o zawartym przeze mnie małżeństwie. Pewnego dnia Pasternak i Lec uciekali przede mną cały Murdział (Muranów), ale to było z zupełnie innego powodu, jeszcze nie chodziło o Zuzannę. Po ogłoszeniu owego brzydkiego pamfletu, który Zuzannę dość boleśnie dotknął, Leon Pasternak starannie mnie unikał, dowiedziawszy się od wspólnych znajomych, że mam zamiar, mówiąc po warszawsku z knajacka, „spuścić mu manto”, względnie „pokazać kształt adwokacki”. A pamiętał, że od czasu do czasu uprawiam boks (naturalnie po amatorsku), więc groźby nie lekceważył.

Sanie bardzo się podobał mój tom, „Rozmowy z Ojczyzną”, natomiast skrytykowała dość ostro tom następny, „Demonom nocy” (odznaczony w roku 1937 „Nagrodą Młodych” Polskiej Akademii Literatury), oraz inne, późniejsze wiersze drukowane przeważnie w „Skamandrze”. Zacytuję urywki, które najbardziej przypadły jej do gustu, przede wszystkim poszczególne zwrotki z „Poematu barbarzyńskiego”. „Czerwonej mojej tarczy nie ugryzie krzemienny grot,/ mam siłę nosorożca i szparkość strusia,/ głowami zabitych wrogów mego domu pyszni się płot/ i nie ma takiego wodza, przed którym paść w piasek bym musiał./ A oto leżę wśród liści i nie ma szczęścia w mej pysze,/ krążę myślami nad wioską – nad stadem nie głodny sęp.../ Głowę księżycy strumień w srebrnych ramionach kołysze,/ lampart leniwie się otarł o ciszę/ drzemiących kęp...”

O najbliższej rodzinie Zuzanny wiedziałem niewiele. Tyle, że ojca straciła, gdy była dzieckiem, matka po jakimś czasie wyszła za mąż po raz drugi, co zostało przyjęte bardzo źle przez krewnych zmarłego, tym bardziej, że chodziło o małżeństwo z goimem, czeskim browarnikiem z Wołynia. Wkrótce wyjechała z mężem z Polski, zawędrowali aż do Hiszpanii. Najpierw Kordoba, potem Pamplona. W dalszym ciągu opowiem, jak nawiązałem z nią listowny kontakt. Mniej więcej w tym

samym czasie przeczytałem o wielkim dziwaku i fantaście, którego w Kijowie przed rewolucją nazywano „baronem”. Baron Ginzburg! Był artystycznym cyganem z natury, mecenasem poetów, malarzy i w ogóle artystów. Miewał okresami duże pieniądze, szybko je tracił, równie szybko bogacił się w niewytłumaczalny dla otoczenia sposób. Przyjaźnił się z Osipem Mandelsztamem, poetą wielkiej klasy, ale wtedy jeszcze mało znanym (urodził się w Warszawie, ale wychował się w Sankt Petersburgu). Po zestawieniu pewnych faktów i dat doszedłem do wniosku, że ów fantastyczny „baron Ginzburg” był ojcem Zuzanny. Ale uprzednio, za jej życia cała ta sprawa mnie nie interesowała. Sama Sana na tematy rodzinne odzywała się tylko półgębkiem. Tyle, iż wiedziałem, że jej matka jest w Hiszpanii.

Ojciec Ginzburg, a córka Ginczanka? Jeżeli któryś z czytelników jeszcze się nie domyślił, wyjaśniam: Zuzanna przerobiła sobie Gincburżankę na Ginczanekę, bo w jej przekonaniu ten pseudonim brzmiał lepiej. Słusznie! Za ojcostwo barona nie ręczę; zbieżność faktów i dat mogła być zwykłym przypadkiem. Niemniej, jestem przekonany, że Zuzanna była córką owego fantasty-utrcjusza i hojnego mecenasa w dniach obfitości. Ale, jak już podkreśliłem, nigdy z nią na ten temat nie rozmawiałem. O Gincburgu dowiedziałem się różnych szczegółów z lektur rosyjskich w dobrych kilkanaście lat po tragicznej śmierci Zuzanny.

Po raz ostatni widziałem ją w czerwcu, albo w lipcu 1939 roku. Spotkanie było najzupełniej przypadkowe na warszawskim Nowym Świecie. Nic nas już wtedy nie łączyło oprócz wspomnień, i niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia, więc i tym razem rozmowa była krótka. Jakby tknięty przeczuciem, zapytałem, jakie ma zamiary na wypadek wybuchu wojny. Mało kto miał pod tym względem wątpliwości i złudzenia.

Tu mała dygresja. W jesieni zamierzałem wydać dwie książki; jedna miała się ukazać w słynnej poetyckiej serii Mortkowicza (warunki już zostały omówione), drugą usiłowałem zainteresować księgarnię Hoesicka. Dyrektor wydawnictwa, popularny Marian Sztajnsberg, wysłuchał mnie, zastanowił się, pocmokał swoim zwyczajem przez dłuższą chwilę... „Wie pan, panie Łobodowski, ja tę książkę chętnie wydam, ale musimy troszkę zaczekać, powiedzmy do 1 września. Jeżeli do tego czasu wojna nie wybuchnie, to już jej aż do następnej wiosny nie będzie. Hitler jest wariat, ale nie taki głupi, żeby zaczynać wojnę późną jesienią. To niech pan do mnie wróci 1 września. Wtedy pogadamy!” A więc biedny „Marianek” (tak go powszechnie nazywano w warszawskich kołach literackich i teatralnych; był żonaty z wybitną aktorką, Mieczysławą Ćwiklińską) przewidział dokładnie datę wybuchu. Co się z nim stało, nie wiem. Wojny nie przeżył, a więc z całą pewnością zamordowali go hitlerowscy barbarzyńcy.

Rozmowa ta zbiegła się mniej więcej z moim spotkaniem z Saną. Odpowiedziała na moje pytanie, że zamierza wrócić do Równego i przeczekać wojnę przy boku babci. A ja bez namysłu: „Radzę ci wyjechać do Hiszpanii. Wojna domowa już się skończyła. Odszukasz matkę, pomoże ci urządzić się...”. Roześmiała się. „Nie, ja już wolę zostać z babcią!”. Gdyby posłuchała mojej rady,

żyłaby zapewne po dziś dzień. Do Francji, przykucniętej za linią Magionta (na propagandowym papierze – niezdobytą), a po klęsce podzielonej na dwie zony, wiadomości o krewnych i znajomych, pozostałych w kraju, przychodziły rzadko i przeważnie bardzo mętne. Ze wspomnień Śpiewaka wynika, że wojna zastała Zuzannę w Równem, potem przeniosła się do Lwowa. Dowiedziałem się, że jeździła do Moskwy, przekładała Majakowskiego, co było nieporozumieniem, bo trudno o bardziej przeciwstawne formacje psychiczne. Według Śpiewaka wyszła za mąż „za znacznie od niej starszego krytyka”. Nazwiska tego krytyka nie podał. Ale powtarzam, co napisałem uprzednio: wspomnienia Śpiewaka są bardzo bałamutne. Kiedy i w jakich okolicznościach zginęła Zuzanna?

Kiedy w nieistniejących już londyńskich „Wiadomościach” ukazało się moje obszerne wspomnienie o Ginczance, oraz jeden z wierszy jej poświęconych, otrzymałem list od kogoś, kto ją w tamtych lwowskich czasach dobrze znał i z nią obcował. W liście było sporo nieznanych mi szczegółów, częściowo pokrywających się z „Tragiczną gawędą Śpiewaka. „Przez pewien czas – ukrywała się we Lwowie... przyjaciele pomogli jej wyjechać do Krakowa, wystarali się dla niej o dokumenty ormiańskie... Katastrofa przyszła nagle. Wydała ją gospodyni, u której mieszkała. Tyle lat żyła nadzieją, aż do ostatniego dnia, do egzekucji. Ostatnim zachowanym wierszem Ginczanki jest utwór pod tytułem „Non omnis moriar”... Została rozstrzelana na dziedzińcu więziennym, tuż przed wyzwoleniem miasta”. Kto inny mnie informował, że podczas krótkiego śledztwa zachowała się bardzo dzielnie i nikogo nie wydała. Miała w chwili zgonu 27 lat.

Jeżeli przed wyzwoleniem Krakowa, to znaczy, że przeżyła pod okupacją hitlerowską grubo ponad trzy lata i zginęła na początku roku 1945. Ale wspomniany wiersz datowany jest w roku 1942 i napisała go (podobno) w więzieniu. Cóż znaczą te dwa wiersze: „Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla, donosicielko chyża, matko folksdojczera...”? Wynikałoby z tego, że Zuzanna została zamordowana we Lwowie, a nie w Krakowie, zaś cytowany wiersz powstał tuż przed śmiercią, albo też data jest niewłaściwa. Śpiewak tej oczywistej sprzeczności nie wyjaśnił, więc w dalszym ciągu nie wiem, która data jest właściwa. Ów lwowski świadek, autor wspomnianego listu, twierdzący kategorycznie, że Zuzanna zginęła tuż przed odejściem Niemców z Polski, także nie bardzo wie, co zrobić z datą tego przedśmiertnego wiersza. Sprawa jest zatem otwarta.

Wiersze Ginczanki – i te zawarte w tomiku „O centaurach” i te inne, drukowane albo nie, które dała mi do przeczytania – były zmysłowe, potracające o biologię, niejednokrotnie nurzające się w sensualizmie, wypełnione przeczuciami prawdziwej miłości. Ot, choćby ta zwrotka z „Canticum canticorum”: „Zaklinam was panny w wonnościach,/ przez sarny w kniei,/ przez łanię nagłą, jak zamach:/ nie szukajcie za wcześnie miłości, nie budźcie jej,/ pokąd do was nie przyjdzie sama”. W Warszawie nigdy nie brakowało jej adoratorów. Lubiła się nimi otaczać, zrażała ich, odchodzili, wracali. Zawsze podejrzewałem, że nawet zbliżenia fizycznego nie traktowała zbyt serio, czekała cierpliwie na miłość, która ją pochłonie bez reszty, która „przyjdzie sama”. Czy przyszła?

Na wiosnę 1939 roku ukazał się w „Wiadomościach Literackich” znamienny, choć artystycznie dość słaby wiersz Ginczanki, w którym powtarzał się refren: „Jakaż to wiosna? Miłosna. Jakaż to wiosna? Wojenna.” Mało kto wiedział, kim był szczęśliwy bohater wojenno-miłosnej wiosny. Dowiedziałem się o tym od niego samego, gdyśmy się po wielu latach spotkali i poznali w Londynie. Nie żyje, ale nie jestem upoważniony, by podać jego nazwisko. Przez jakiś czas prowadził z nią korespondencję z Budapesztu, gdzie przebywał po klęsce wrześniowej. Ton listów Zuzanny z okupowanego przez bolszewików Lwowa stawał się z miesiąca na miesiąc coraz bardziej minorowy, atmosfera, wytworzona w mieście, najwidoczniej napawała ją wstrętem, choć początkowo brała udział w różnych oficjalnych aktach, jak złożenie wieńców przed pomnikiem Adama Mickiewicza i Iwana Franko, czemu sowieckie władze okupacyjne nadały wyraźny polityczny charakter. Ale to było jeszcze przed aresztowaniem Broniewskiego i Czuchnowskiego. Zrodziła się inicjatywa, by Zuzannę przerzucić na Węgry, przez „zieloną granicę”, ale z nieznanymi powodami spaliła na panewce.

Ponieważ w ostatnich paru latach Ginczanka dość intensywnie współpracowała nie tylko z „Wiadomościami Literackimi” i wskrzeszonym „Skafandrem”, ale także z mocno lewicowymi „Szpilkami” posądzano ją o określoną pozycję polityczną. Nic dalszego od rzeczywistości! Sana była pod względem politycznym całkowicie aseptyczna, mimo, że rosnący antysemityzm przerażał ją i budził w niej wstręt. Ale, gdy przyjechała do Warszawy i pokazano jej „Czarny Łą” za „Żelazną bramą”, wpadła w przerażenie. „To ma być mój naród?!” Żydzi na wschodnim Wołyniu nie używali średniowiecznego ubioru i nie nosili pejsów. Byli to przeważnie litwacy, jak i cała rodzina Zuzanny. Kulturalnie czuła się Polką, sprawy różnorodności rasowej dla niej nie istniały. W gimnazjum rówieńskim jej żydowski pochodzenie nie było brane pod uwagę, z antysemityzmem zetknęła się po raz pierwszy dopiero w Warszawie.

Środowisko, w którym przebywała, łagodziło te sprawy. W j i d y s z nie znała ani jednego słowa. Religijnie była obojętna, ale rozczytywała się z satysfakcją w mistycznych dramatach Słowackiego. Ale, jak już to powiedziałem, jej ulubioną lekturą była „Pieśń nad pieśniami” Salomona. Gdy wybuchła wojna, była w pełni kobiecej urody - miała dwadzieścia dwa lata. Gdyby pozostała podczas pierwszej okupacji sowieckiej w Równem, zginęłaby razem ze swoją starą babcią w masakrze Żydów wołyńskich w Zdołbunowie. W dużym mieście łatwiej było się ukrywać. Pomysł z ormiańskimi papierami był znakomity – Zuzanna miała typ egzotyczny i południowy, mogła bez pudła udawać lwowską Ormiankę. Po co ją wyprawiono do Krakowa, gdzie Ormian nie było, nie mam najmniejszego pojęcia.

Zdarzyło się, że w latach sześćdziesiątych drukowałem w londyńskich „Wiadomościach” wiersz p.t. „Pamięci Sulamity”, poświęcony pamięci Zuzanny Ginczanki. Jeden z młodych studentów polskich pojechał w okresie świątecznych wakacji do Pamplony i po powrocie opowiadał mi, że poznał tam małżeństwo z Polski; on, piwowar z Wołynia, spolszczony Czech, żona, zdaje się Żydówka. Zapytała go, czy coś wie o poetce, Zuzannie Ginczance, której jest ciotką. Wydało mi się

dziwne, że ciotka, ale poinformowałem chłopaka o losach Zuzanny i dałem mu odpis wiersza. Po jakichś dziesięciu dniach otrzymuję małą poleconą paczuszkę z Pamplony. Tekturowe pudełko, w nim drugie, mniejsze, następnie trzecie, jeszcze mniejsze. Co u diabła! – myślę – jakieś kpiny, czy kawał? Ale w trzecim pudełeczku mała flaszeczka, a w niej w kawałku waty złota szpilka do krawata z diamencikami. Szpilka przebija małą karteczkę z napisem „Od matki Zuzanny”. Opisałem tę historię w czasopiśmie hiszpańskim, „Polonia”, wydawanym w owym czasie przez Polski Czerwony Krzyż w Madrycie. Takie były późne echa mojej znajomości z Zuzanną-„Sulamitą”.

W ostatnich latach przedwojennych Zuzanna była stałym gościem przy stoliku Witolda Gombrowicza w Warszawskim „Zodiaku”. Czego tam szukała, daremnie dziś pytać. Co wieczora siadywał tam Stanisław Piętaś, „owczarz”, jak go w celnej recenzji z „Jasia Konefała” nazwał Jarosław Iwaszkiewicz. Sentymentalny Piętaszek podkochał się wtedy w Ginczance, wierząc, że to będzie jedyna prawdziwa miłość w jego życiu. Opisał z entuzjazmem owe wieczory w swoich wspomnieniach. Królem przy stoliku był, naturalnie, Gombrowicz, reszta stanowiła rodzaj dworu. „Ginczanka – pisał Piętaś – była pierwszą damą, ja – paziem”. Gombrowicz lubił otaczać się ludźmi, wpatrzonymi w niego z bezkrytycznym uwielbieniem; wyobrażam sobie, że o to samo chodziło Zuzannie, która przy tym ekskluzywnym stoliku była jedyną piękną kobietą. Inne się przy niej nie liczyły. Intelktualnie nie mogła wiele skorzystać, Gombrowicz chciał jedynie oddychać kadzidłami na jej część.

Czy rosną jakieś kwiaty na bezimiennym grobie Zuzanny, rozstrzelanej tylko dlatego, że należała do rasy hebrajskiej? Nie uczyniono dla niej, dla jej młodości, urody i poezji żadnego wyjątku. Niekiedy zastanawiam się, o czym mógł myśleć, jeżeli w ogóle myśleć był w stanie, ów germański knecht, gdy wpakował kilka kul z rozpylacza w piękne ciało Zuzanny? Czy była dla niego tylko Żydówką, którą z racji jej pochodzenia należało zlikwidować, czy żywym człowiekiem, którego jedyną winą była rasa, skazana na zgubę? Czy jej morderca żyje jeszcze i czy zdaje sobie sprawę z tego, co uczynił? Zuzanna Ginczanka – „tragiczna gawęda”, jak wspomnienie o niej określił także już nie żyjący Jan Śpiewak! Więc oto kilkanaście wierszy, spisanych o niej w różnych okresach, a zawsze tak, jak gdyby żyła i miała znowu zapytać, niczym przed przeszło czterdziestu laty: „Słuchaj, ty, zdaje się, chcesz mnie uwieść...”